Na str. 2-ej: Ludzie z Z. S. R. R.
Na str. 4-ej: Dookoła „Feniksa"

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

50 GR

WIEM WSZYSTKO

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 37 | Warszawa, Niedziela, 27 września 1936 r. | Rok

ULICE CZERWONEJ BARCELONY

Drugi reportaż specjalnego korespondenta „WIEM WSZYSTKO"

II.

Barcelona, w sierpniu.

Na lotnisku panował ogromny ruch.Co chwila odbywał się start lub lądowanie samolotów, przeważnie wojskowych. Niczem Tempelhof w Berlinie, pomyślałem. Na lotnisku naliczyłem 17 maszyn siedzących. W pośród nich zauważyłem 7 aparatów myśliwskich, w których rozpoznałem 3 typu Savoya a pozostałe to Potezy. Niedaleko od nich siedział potężny aparat pasażerski linii „Air France" o trzech motorach prawdopodobnie ten, którym przyleciałem. Nieco na uboczu, zauważyłem z radością, 3 ogromne trzy-motorowe maszyny „Lufthansy" ze swastyką na skrzydłach, oraz kilka małych avionetek. Zupełnie na uboczu już prawie przy magazynach, zauważyłem 4 wielkie maszyny bombowe, które, jako dziennikarza, zainteresowały mnie specjalnie. Przedewszystkim, zainteresowało mnie pochodzenie tych maszyn, gdyż zdaleka przypominały one podziwiane nie dawno na pokazie w Friedrischafen, najnowszej konstrukcji „Junkers RGP".

RYZYKOWNA CIEKAWOŚĆ

Zauważyłem, że do jednej z maszyn, obładowanej już 16-ma potężnymi bombami i uzbrojonej w dwa karabiny maszynowe, ładowano ogromne ilości jakichś druków, widocznie ulotek. Dla urozmaicenia skutków bombardowania, pomyślałem...

Po dłuższym obserwowaniu owych czterech aparatów bombowych, stwierdziłem, że dwa z nich to angielskie D. H. „trzeci to najnowszej konstrukcji, słynny typ „Dragon DH 50", czwarty zaś, to rasowa „Savoya Marchetti B. 2".

Zaspokoiwszy ciekawość, zbliżyłem się do aparatów „Lufthansy" i ku mej wielkiej radości z miejsca natknąłem się na znanego mi z częstych podróży tą linią, radio-technika Niemca. Od niego dowiedziałem się, że jeszcze przed 4-ma dniami, 3 maszyny „Lufthansy" obsługiwały regularnie linię Barcelona — Madryt, zaś 4-ta maszyna linię Madryt — San Sebastian. Wszystkie te maszyny pomagały szybkiej ewakuacji obywateli niemieckich z zagrożonych terenów. Komunikacja ta została przed czterema dniami, z rozporządzenia centralnych władz w Madrycie, ograniczona tylko do obsługi linii Barcelona — Madryt i to tylko raz na dobę. Na moje pytanie,, kiedy spodziewać się można następnego odlotnu jednej z maszyn do Madrytu, odpowiedział mi, że nigdy nie wiadomo dokładnie o której godzinie nastąpi odlot, gdyż czas odlotu ustanawia komendant lotniska, a, załoga dowiaduje się o godzinie odlotu na 45 minut przed startem. W końcu poinformował mnie mój rozmówca, że celem zarezerwowania sobie miejsca w samolocie, należy się udać najlepiej do konsulatu niemieckiego ewent. do komendanta lotniska.

W NIEMIECKIM KONSULACIE

W 10 minut później, pędziłem już samochodem przez piękną ulicę, a raczej autostradę „Prat de Llobregat" ku „Calle de las Cortes", zdążając do „Paseo de Gracia", gdzie mieści się konsulat Rzeszy Niemieckiej.

Po krótkiej rozmowie z urzędnikiem konsulatu dowiedziałem się, że odlot maszyny nastąpi pomiędzy godziną 16-tą a 17-tą oraz, że będę najprawdopodobniej jedynym cywilnym pasażerem, udającym się do Madrytu. Mój rozmówca zaznaczył, że sam lot nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, gdyż nigdy dotąd nie było wypadku, ażeby maszynę ostrzeliwano; Zadowolony z szybkiego załatwienia sprawy, postanowiłem wykorzystać godziny, dzielące mnie od dalszego lotu, na obejrzeniu miasta. Chciałem się naocznie przekonać, czy i ile było prawdy, a ile przesady w komunikatach i reportażach kolegów z prasy zagranicznej o rzekomej anarchii, walkach ulicznych, rządach motłochu i pożarach w stolicy Katalonii.

ULICE CZERWONEJ BARCELONY

Na ulicach, ruch był prawie normalny, może nieco więcej ożywiony i więcej gorączkowy, jak w czasach pokojowych. Różnica wyglądu ulicy polegała chyba na tym, że bardzo rzadko spotykałem luksusowe limuzyny i kabriolety, od których normalnie roi się w Barcelonie. Rzuca się w oczy również, zupełny prawie brak na ulicach miasta, eleganckiej publiczności. Życie miasta naogół spokojne, jak po burzy, albo może raczej przed burzą.

Całe masy wojskowych i milicjantów na każdym kroku, nadają miastu wygląd raczej obozu wojskowego. Co chwila spotykałem niby to patrol, niby oddział milicji, maszerującej dość ospale po rozmiękłym od gorąca asfalcie, lub po ulicach, pokrytych szarą kostką. Co chwila przemykał się, pomiędzy innymi pojazdami, samochód ciężarowy, naładowany jak beczka śledzi, członkami milicji ludowej.

Samochody te dążyły w północnym kierunku miasta, widocznie do głównej stacji kolejowej.

OBLICZE MIASTA

Na skrzyżowaniach ulic, rzadko spotykałem policjanta. Służbę pełnią i ruch regulują milicjanci i milicjantki. Jak ten porządek ruchu wygląda, lepiej nie opisywać. Wiele sklepów, a zwłaszcza wielkie magazyny, pozamykane.

Po drodze, wstąpiłem do znanej kawiarni „Ciceo" na „Plaza de Cataluna". Publiczności cywilnej zastałem jak na wagę. Przeważali wojskowi i milicjanci. W kącie tarasu zauważyłem jakieś znudzone, czy smutne dwie damy o niedwuznacznym sposobie zarobkowania, po za tym kilku młokosów. Oto „societa" tej zazwyczaj po brzegi wypełnionej elegancką publicznością modnej kawiarni. Zamiast dawnych kelnerów obsługują gości młode dziewczęta w pstrokatych sukienczynach i białych fartuszkach.

Poszedłem dalej, mając zamiar wsiąść na pobliskiej stacji węzłowej „Metro" i udać się kolejką podziemną na „Rambla del Centro". Gdy się zbliżyłem do stacji, przekonałem się, że „Metro" nie czynne. Wejście na stacje zupełnie zniszczone, poręcze wyłamane, piękne niegdyś, białe schody oraz klatka schodowa zdemolowane.

Rad nie rad, poszedłem pieszo w kierunku „Rambla del Centro". Po drodze, zauważyłem ślady stoczonych walk ulicznych. Dziesiątki powybijanych szyb wystawowych, tu i owdzie wystawy pozabijane deskami lub dyktą. Większość wystaw zupełnie pustych, sterty odłamków szkła, a gdzie nie gdzie, w bramach i na marmurowych fasadach luksusowych domów, brązowe plamy, ślady krwi, świadectwo nie dawno stoczonych krwawych walk.

Obecnie mieści się w tym lokalu kuchnia dla milicji i różnych biedaków. Pełno ich tu, rojno i gwarno, zajadają baraninę, jakieś ryby i popijają wino. Dziwny „lunh" u „Martin'a".

W MUZEUM OKROPNOŚCI

W pobliżu „Martina" na „Calle de Diputation" znajduje się słynne na cały świat muzeum diecezjalne „Museo Diocesa". Właściwie „znajdowało się". Jest ono, niestety, prawie zupełnie zdemolowane i puste. Nawet potężne, ogromne drzwi wejściowe, ozdobione rzeźbami z XVII w. wyrwano z zawiasów. Prawie wszystkie szyby w gmachu powybijane. Przed wejściem pełniły służbę dwie nadobne milicjantki z karabinami na ramieniu. Nie wiem co bardziej na nie poskutkowało: moja przepustka, oraz legitymacja dziennikarska, czy też „oko" puszczone do jednej z „Carmen", dość, że bez trudności wpuściły mnie do wnętrza.

Tak silnego, wstrząsu nie przeżyłem dawno. Bezcenne dzieła sztuki kościelnej, przepiękne obrazy, rzeźby, gobeliny i sprzęt kościelny porozrzucane po ziemi, stratowane stłamszone. W jednej z sal na pierwszym piętrze, widać ślady ugaszonego pożaru. Jakże bardzo koszmarnie przedstawiała się ta „radość" ludu Hiszpanji Cervantesa, jak bardzo, do złudzenia przypominają rewolucję październikową w Rosji...

„RODACY"

Wyszedłem z tego „muzeum" okropności" podniecony i wstrząśnięty do głębi. Wystarczy raz zobaczyć podobny obraz, aby znienawidzieć ten motłoch, którego dziełem jest to wszystko.

Poszedłem do znanego mi z dawnych czasów hotelu „Victoria", chcąc zjeść tam cokolwiek. Niestety. Hotel od trzech tygodni był nie czynny. Mieszczą się w nim obecnie biura „Głównej Komendy Milicji" oraz nowoutworzonej „Głównej Rady Ekonomicznej". Jeden ze znanych mi urzędników dyrekcji, którego pozostawiono na posterunku, opowiedział mi o strasznych scenach, jakie się rozgrywały podczas zajęcia, a raraczej napadu motłochu na hotel. Podczas tego „zajmowania" zginęło podobno trzech gości, jeden z członków dyrekcji, portier i dwaj służący. Od tegoż urzędnika dowiedziałem się, że „Główna Rada Ekonomiczna" jest urzędem, który zająć się ma nacjonalizacją przemysłu i handlu. Na czele tego „ludowego urzędu" stoją podobno dwaj komuniści, żyd z Polski nazwiskiem Margolis-Wołczański, oraz rosjanin o nazwisku Nin. Obaj przybyli wia Warszawa—Paryż do Barcelony. Podobno obaj władają językiem polskim.

ŚWIĘTO STAREGO MIASTA

Pożegnałem zalęknionego urzędnika „Victorii" i zdobywszy taksówkę, kazałem się wieźć w kierunku starego miasta i portu, w którem zamieszkuje przeważnie mieszczaństwo, robotnicy i biedota. W tej części miasta zastałem jak gdyby świąteczny nastrój. Ulice i domy przybrane czerwonemi sztandarami i powodzią transparentów, na ulicach masy dzieci i młodzieży. Na jednym z placów natknąłem się na „trupę teatralną" składającą się ze starego kataryniarza oraz młokosa robiącego sztuczki z obrzydliwą, starą, lecz świetnie wytresowaną małpą. Małpa ta przystrojona była w szarfę koloru czerwonego z napisem: „Oto generał Franco — zdrajca ludu"...

Na placu „de la Paz" zdziwiła mnie zmiana zewnętrznego wyglądu majestatycznego pomnika Krzysztofa Kolumba. Poleciłem szoferowi zatrzymać się i ... o mało nie parsknąłem śmiechem. Bo oto na „stare lata" przefasonowano Kolumba na „towarzysza", wetknąwszy mu pod ramię... czerwony sztandar z emblematami sowieckimi a na przodzie płaszcza wymalowano bolszewicką gwiazdę. Byczo jesst, pomyślałem w duchu, towarzyszom nie brak humoru... Lecz co na to Kolumb w grobie? Chyba żałuje, że nie pozostał w Ameryce..

Przyznaję, że z wielką radością wsiadłem do kabiny samolotu „Lufthansy" startującego do Madrytu. Pierwszy, bezpośredni kontakt z czerwoną Hiszpanią zostawił jak najnajgorsze wspomnienia. *Lav.*

d. c. n.

LUDZIE Z. S. R. R.

Naftowy Don Juan

Drogi i manowce „polpreda" Ostrowskiego

Rosja Sowiecka nie przestaje ściągać na siebie uwagi całego świata. Uwagę tę spotęgował jeszcze bardziej nie dawno zakończony, upiorny proces „trockistów", który we właściwym świetle przedstawił oblicze „sfederowanej republiki".

Stosownie do zapowiedzi danej w Nr. 35 WIEM WSZYSTKO, po Lwie Borysowiczu Helfandzie, pragniemy w cyklu: „Ludzie Z.S.R.R." prześwietlić drugą, nie mniej ciekawą, a nam osobiście bliższą postać sowieckiego dyplomaty — Michała Ostrowskiego „polpreda" Z.S.R.R. w Bukareszcie.

Sylwetka tego „dyplomaty", żyda z pochodzenia, a Don Juana z upodobania i wyrachowania, jest tak ciekawa, tak bardzo niezwykła, że nie mogliśmy się oprzeć chęci prześwietlenia właśnie jego osoby reflektorem naszych rewelacyj.

Syn Szymona, Michał Ostrowskij nie odznaczał się specjalnym entuzjazmem dla służby wojskowej. Gdy więc po ukończeniu wydziału prawnego uniwersytetu petersburskiego, trzeba było ze względu na toczące się działania wojenne, wstąpić do armii cara Mikołaja II-go, Miszka Ostrowski z talentem właściwym swej rasie „zadekował" się w formacjach pozafrontowych i „służył" Rosji tkwiąc w Charkowie, gdzie spadła nań huraganowa fala rewolucji październikowej.

POCZĄTEK KARIERY

Spryt i dar przewidywania, kazały mu bez chwili namysłu wstąpić do partji komunistycznej, a jednocześnie zadeklarować gotowość do służby frontowej. Z uczonego prawnika, zresztą bardzo zdolnego i wypróbowanego „tyłowca", Ostrowski błyskawicznie

przeobraża się w... komisarza dywizji kawalerji

i bierze aktywny udział w walkach domowych i wojnie z Polską.

Nie pisana mu jest jednakże karjera wojskowa. Demobilizuje się i zaczyna pracować w sowieckim syndykacie naftowym, szybko i z wielkim talentem zdobywając sobie uznanie i zaufanie przełożonych.

Niewątpliwie bardzo inteligentny, wykształcony, a przy tym wszystkim fenomenalnie obrotny i trzeźwy życiowo, *źródłowemi referatami o gospodarce naftowej Z. S. R. R.* zwraca na siebie uwagę Kremla, który jego właśnie upatruje na następcę niesławnej pamięci stuprocentowego „komunisty" Czasownikowa, który po szeregu niekorzystnych dla Z.S.R.R. posunięć w dziedzinie zagranicznej gospodarki naftowej, przeobraża się w... wozrożdżeńca.

WYJAZD DO TURCJI

Jest to okres, kiedy Sowiety, wiedzione kapitalną intuicją „stawiają" na młodziutką republikę turecką. Ostrowskiemu zostaje powierzona odpowiedzialna placówka naftowa przy sowieckim „torgpredstwie" (przedstawicielstwo handlowe) w Stambule. I chociaż w centrali „Nieftasyndykatu" istnieje perspektywa objęcia stanowiska prezesa zarządu, to przecież Ostrowski wybiera placówkę zagraniczną, kierując się najprawdopodobniej nie tyle pragnieniem poznania obcych krajów, ile zdając sobie sprawę, że jako inteligentowi, będzie mu poza granicami Z.S.R.R. lepiej i wygodniej...

Do Stambułu zjeżdża w początkach 1925 roku. Z amerykańskim rozmachem organizuje powierzoną mu placówkę. Liczni urzędnicy, sekretarze i sekretarki, dwaj zastępcy: inż.-chemik Staruchanow, wybitny spec w dziedzinie przemysłu naftowego i tęgi handlowiec Wulfson, składają się na personel przedstawicielstwa sowieckiego syndykatu naftowego w Turcji.

NA STAMBULSKIM BRUKU

Ostrowski daleki jest od proletarjackiej szarzyzny, tak dotkliwie dokuczającej mu w ojczyźnie. Tutaj ma luksusowe mieszkanie, bogato urządzone gabinety, drogie samochody i wykwintne motorówki na Bosforze. Tutaj rezygnuje z modnej wówczas w Z.S.R.R. „rubaszki"

na korzyść doskonale uszytych garniturów, drogiej bielizny

i różnych innych akcesorjów burżuazyjnego bytowania.

Amerykański rozmach przejawia się również w metodach... reklamowania swej placówki. Ostrowski natychmiast po przyjeździe nawiązuje kontakt z prasą stambulską. W przeciwieństwie do innych kolegów, nieufnie nastrojonych do wszelkich enuncjacyj prasowych, pamiętających, że na każdy ich krok baczną uwagę zwraca... G.P.U., Ostrowski udziela wywiadów, fotografuje się, daje informacje, słowem robi wszystko to do czego mógłby być ewentualnie upoważniony „torgpred", ale nie jego podwładny.

BOGATY DYPLOMATA

Że ta akcja reklamiarska kończy się skandalikiem, to inna sprawa, ale Ostrowski „wchodzi" na „rynek". Jest go wszędzie pełno, szasta na prawo i lewo pieniędzmi, Luksusowy samochód „tawariszcza" Ostrowskiego godzinami wyczekuje przed stambulskiemi knajpami, gdzie „naftowy dyplomata"

urządza libacje dla tych wszystkich, którzy... mogą mu być potrzebni.

Obok więc reprezentantów tureckiego, wówczas jeszcze nie zupełnie znacjonalizowanego przemysłu, podejmuje deputowanych młodej republiki, obok wyższych urzędników „polpredstwa" w Ankarze, bądź konsulatu generalnego w Stambule, spotyka się zwykłych „gepistów", którzy jednakże całe to towarzystwo trzymają w gruncie rzeczy w garści.

Ostrowski nie liczy się z pieniędzmi, których nota bene ma zastanawiająco dużo i z bardzo licznych źródeł. Bo oto obok doskonałej gaży, która wraz z djetami sięga w tych czasach 1.000 dolarów amerykańskich, ma Ostrowski

do swej dyspozycji fundusz „propagandowy", w wysokości ok. 50.000 dol.,

poza tym sprytnie uzyskując dla pracowników swego działu podwyżki, pobiera potem od nich odpowiedni procent, a wreszcie robi różne „boczne" interesy. M. in. stworzył Ostrowski przy „torgpredstwie" instytucję naftowych ajentów handlowych, na czele tej instytucji stawiając odeskiego żyda Simanowskiego. Tej postaci warto poświęcić parę słów. Simanowski, emigrant z czerwonej Rosji, przed wojną jeszcze przeszedł na prawosławie i ożenił się z Rosjanką, po rewolucji wrócił na łono wiary przodków, a gdy stwierdził, że nie wiele mu to dało, uciekł z Z.S.R.R. do Stambułu, przyjął mahometanizm, naturalizował się i zmienił nazwisko Simanowski na... Iskander-Bej.

PIERWSZA OFIARA

Tego to wyznaniowego kameleona, Ostrowski postawił na czele nowej organizacji, zawierając z nim cichą umowę, mocą której Iskander-Bej-Simanowski otrzymywał 5% od wszystkich tranzakcyj. Umowa ta została zawarta między Ostrowskim a Iskander Beyem poza plecami „torgpreda" i dawała Ostrowskiemu wielkie korzyści, materjalne. Jednocześnie, powierzając Iskander Beyowi kierownictwo organizacji agentów handlowych syndykatu naftowego, oficjalną umowę z nim

podsunął do podpisania swemu zastępcy Wulfsonowi.

Gdy więc po pewnym czasie wychodzi na jaw istnienie cichej umowy między Ostrowskim i Iskander Beyem i sprawą zajmuje się G.P.U., Ostrowski wychodzi z całej afery obronną ręką, boć przecież nie on podpisywał cokolwiek z Iskander Beyem, a Wulfson i wezwany do Moskwy celem złożenia wyjaśnień w tej sprawie, Wulfson zostaje rozstrzelany..,

Oczywiście Iskander Bey traci swe stanowisko, ale nie przejmuje go to zbytnio bo w momencie rozwiązania z nim umowy ma na swem koncie....

pół miljona funtów tureckich.

Ile funtów przy tej „tranzakcji" zarobił Ostrowski, o tem kroniki milczą. Faktem jest, że zarówno w Ankarze, jak i w Stambule uchodzi ten raczej niski, pękaty i łysy, zawsze bardzo starannie ubrany „dyplomata" sowiecki za nieomal krezusa i to prawdopodobnie w dużym stopniu przyczynia się do... erotycznych sukcesów Ostrowskiego, których najżyczliwsi nie mogliby w żadnym razie nazwać... Adonisem.

ŻYCIE MIŁOSNE

Sukcesy te są tak niezwykłe, o tak rozległej rozpiętości, że niesposób pominąć je milczeniem, zwłaszcza, że podobnie jak były pracownik „torgpredstwa" w Stambule czy Berlinie, później „torgpred" w Paryżu, dzisiejszy „polpred" w Bukareszcie Michał Ostrowskij

nie rezygnuje z... miłosnych podbojów.

Jeśli na tym odcinku cokolwiek uległo zmianie, to tylko... objekty erotycznych zapędów „towarzysza" Ostrowskiego. Do Stambułu przyjechał on w towarzystwie 22-letniej komsomolki Lali, którą przedstawiał wszędzie jako swą „cywilną żonę". Nie długo jednakże ta „żona" popasała w Turcji. Po pewnym czasie Ostrowski wysyła ją do Moskwy, aby kończyła tam studja medyczne, a sam afekty swe kieruje pod adresem jednej z maszynistek przedstawicielstwa syndykatu naftowego, córki emigrantów prowadzących w Stambule pensjonat. Gdy w wyniku afektów tych, młoda dziewczyna zachodzi w ciążę, Ostrowski

wyrzuca ją z posady i zrywa z nią wszelki kontakt.

Ofiara truje się gazem, a gdy w prasie stambulskiej pojawiają się na ten temat kompromitujące notatki, Ostrowski swym szefom tłumaczy, że jest to oczerniająca akcja emigracji rosyjskiej.

MASZYNISTKI I POKOJÓWKI

Z racji swego stanowiska, Ostrowski musi często przebywać w Ankarze. Tam też następuje drugi „romans", również z maszynistką sowieckiego „polpredstwa", o mały włos nie zakończony podobnym epilogiem.

W nowej stolicy republiki tureckiej, był w tych czasach jedyny przyzwoity hotel „Ankara". W hotelu tym zamieszkują wszyscy dyplomaci czasowo przebywający w Ankarze. Mieszka tam również Ostrowski i „romansuje" z 2-ma... pokojowemi. Turczynkami. Jedna z nich jest młoda i brudna, druga — starsza i sprytna, bo oto gdy z pierwszą „nasycony" dyplomata szybko i bez trudu zlikwidował swój stosunek.

druga robi mu takie skandale, że stają się one głośne w całej Ankarze

i aby uniknąć ostatecznej kompromitacji, Ostrowski musi wypłacić ex-kochance 1.000 funtów tureckich.

PANIE Z TOWARZYSTWA

Ten fakt skłania go do zrezygnowania z dotychczasowych objektów. Sowiecki „dyplomata" postanawia przenieść się do środowiska... pań z towarzystwa. W Ankarze reprezentują je głównie panie z korpusu dyplomatycznego, gdzie nota bene Ostrowski nie jest zbyt entuzjastycznie przyjmowany, chociażby tylko dla swego nader odrażającego wyglądu i zbyt znanych kontaktów z „gepistami" akredytowanemi przy „polpredstwie".

„Dyplomatyczne amory" rozpoczynają się więc od emigrantki-rosjanki, żony technika-Włocha, budującego gmach ambasady włoskiej w Ankarze. Tu Ostrowski bardzo szybko zwycięża i przenosi swe zainteresowania na wyższe szczeble. Bo oto emabluje, zresztą skutecznie,

bezmała 50-letnią żonę zastępcy „polpreda" Wieliczko...

Po „madame" Wieliczko, następuje maszynistka „polpredstwa", a jednocześnie żona II-go sekretarza „polpredstwa" Saułowa, z którą Ostrowski ma dziecko. Po tym sukcesie, notujemy krótkotrwały flirt z buchalterką „polpredstwa", a zaraz po nim następuje nowa ofiara, aktywna komunistka, żydówka, żona I-go sekretarza „polpredstwa" Waltera.

OPORNA PANI TAKANAJEWA

To wszystko jednakże nie wystarcza sowieckiemu Don Juanowi. Afekty swoje kieruje on w stronę bardzo pięknej żony sowieckiego attache wojskowego Takanajewa. Podczas gdy jednak w poprzednich wypadkach „dyplomata" Ostrowski natrafiał bądź na kobiety z gminu, młode i naiwne, bądź na żony ludzi tak czy inaczej jemu podległych, pani Takanajewa wywodzi się ze starej, arystokratycznej rodziny rosyjskiej,

a mąż jej w sposób bardzo radykalny przerwał erotyczne zapędy swego kolegi.

Ostrowski nie martwi się, zwłaszcza że święci tryumfy z małżonką samego „polpreda" w Ankarze Suryca.

Po tym romansie, następuje znów porażka. Przyczyną jej jest żona miejscowego lekarza Haireddin Beya, Rosjanka z pochodzenia. Pani doktorowa była duszą ankarskiego highe-lifeu. W salonach jej gromadziła się cała elita zarówno turecka, jak i dyplomatyczna. Ba, panią doktorową przyjmował sam prezydent Kemal Pasza. To Ostrowskiemu imponowało, ale... inaczej było z uroczą doktorową, dla której kierownik przedstawicielstwa sowieckiego syndykatu naftowego był w tym czasie zbyt nikłym objektem i chociaż chętnie przyjmowała odeń cenne upominki, to jednak na tem flirt sowieckiego dyplomaty z uroczą doktorową musiał się zakończyć.

NOWA OFIARA

Nie zrażony, czerwony Don Juan nawiązuje romans z żoną swego sekretarza Belą Jankolowicz-Lutze. Gdy mają nadejść konsekwencje tego romansu, Ostrowski obawiając się dla siebie skandalu, podstawia swego przyjaciela i wmawia w Lutzego, że ten właśnie jest uwodzicielem. Ten romans kończy się nota bene tragicznie, *bowiem Lutzowa umiera po operacji*, a przestraszony perspektywą skandalu Ostrowski daje mężowi zmarłej... znaczną podwyżkę.

Romansuje potem „tawariszcz" Ostrowski z żoną swego kolegi Gorielowa, a gdy na „tapecie" brakuje świeżych objektów, kontentuje się flirtem ze starą wdową — Greczynką, u której odnajmuje mieszkanie..

RAPORT URZĘDNIKA

Ostrowski dość często jeździ do Grecji. I oto z Aten nadchodzi kiedyś list adresowany do G.P.U. w Stambule, a pisany przez jednego z urzędników „polpredstwa" w Atenach, który z oburzeniem donosi, że sąsiadując w mieszkaniu z koleżanką swą maszynistką z „polpredstwa", młodziutką żydówką-komsomołką,

stał się mimowolnym świadkiem gwałtu, jakiego dopuścił się na niej Ostrowski

Przestraszony potem łzami dziewczyny, Don Juan zapewniał ją, że po przyjeździe do Stambułu, natychmiast wystara się o przeniesienie jej do tego miasta i będą razem żyli.

Nie trzeba oczywiście dodawać, że obietnicy swej „tawariszcz" Ostrowski nie spełnił, tembardziej, że w międzyczasie nastąpiły wydarzenia, które położyły kres jego karjerze tureckiej.

POŚLIZGNIĘCIA...

Stosując się do dyrektyw Moskwy, Ostrowski bardzo wydatnie dopomagał do organizacji tureckiego monopolu naftowego, Sowieckiemu Syndykatowi Naftowemu bardzo wówczas zależało na istnieniu tego monopolu, utraciłby bowiem on groźnego konkurenta Syndykatu — Standard Oil Co., gdy jednak wysiłki Ostrowskiego w tym kierunku nie na wiele się przydały, rozpuścić on plotkę, że Standard Oil przekupił wybitnego ekonomistę tureckiego, de-

(dalszy ciąg na str. 3-ej)

Pan referent na urlopie...

Skandal ze stypendystami jugosłowiańskimi w Warszawie

Podczas pamiętnej wizyty w Warszawie ś. p. min. Marcinkovića została zawarta między Polską a Jugosławią Konwencja Kulturalna Polsko-Jugosłowiańska. Na mocy tego porozumienia co rocznie *przybywają do Polski dwaj wychowankowie fakultetów filozoficznych* w Jugosławii aby w ciągu rocznego pobytu jako stypendyści nie tylko nauczyli się po polsku i poznali kulturę polską, ale by pozyskani i zjednani — po powrocie do kraju ojczystego — *stali się rzecznikami przyjaźni polsko-jugosłowiańskiej.* Wzajemnie znów dwaj absolwenci wydziałów filozoficznych naszych wyższych uczelni wyjeżdżają na roczny pobyt do Jugosławii, jako stypendziści rządu jugosłowiańskiego.

Wyboru kandydatów dokonywują zainteresowane rządy: Jugosłowian do Polski wybiera i deleguje ministerstwo oświaty w Białogrodzie, a Polaków akceptuje Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Dla wyboru kandydatów rozpisywane są na uniwersytetach konkursy i są wybierani o najlepszej opinii i z najlepszymi wynikami naukowymi dyplomanci.

Zdawałoby się, że sprawa jest zupełnie prosta i nie powinna być komplikowana żadnymi trudnościami natury biurokratycznej. A tymczasem *mamy do zanotowania nowy skandal,* świadczący nie tylko o lekceważeniu przez nas postanowień Konwencji Kulturalnej Polsko-Jugosłowiańskiej, ale o *kompletnej nie udolności urzędników,* powołanych do szczególnej pieczy nad stypendystami zagranicznymi i do działań propagandowych praktycznego znaczenia.

STYPENDYŚCI z JUGOSŁAWII

W r. b. w wyniku konkursu między uczelnianego w Jugosławii, jako stypendyści rządu polskiego, stosownie do zawartej Konwencji Kulturalnej Polsko-Jugosłowiańskiej, zostali do Polski delegowani *dwaj dyplomowani filozofowie:* dr. Franjo Ivaniczek z uniwersytetu w Zagrzebiu, antropolog i etnolog oraz p. Dragoljub Petrović z uniwersytetu w Skoplje, etnograf serbski.

Zasadniczo, jako stypendystom, przysługują im ulgi kolejowe. Niestety, o ile p. Petrovicowi poselstwo polskie w Białogrodzie udzieliło ulgi 33%-owej na kolejach polskich, to p. dr. Ivaniczek mimo kołatań w sekretariacie konsulatu polskiego w Zagrzebiu (sekretarz dr. Roman Kowalik) żadnej ulgi nie otrzymał. Lecz co gorsze — *obydwu stypendystom przysługuje prawo otrzymania zwrotu kosztów w podróży* (do Polski i z powrotem) w wysokości 300 (trzystu) złotych, ale poselstwo nasze w Białogrodzie ograniczyło się tylko do zapewnienia, że sumę tę stypendziści otrzymają w Polsce.

DZIWNA OBOJĘTNOŚĆ

Młodzi polonofile jadą do Polski. Są przekonani, że po przyjeździe do Warszawy (przecież nasze konsulaty znały terminy ich wyjazdów), będzie ich ktoś oczekiwał na dworcu. Przecież nie umieją dobrze po polsku i nie znają Warszawy. Ale spotkał ich srogi zawód...

W Warszawie nikt ich nie oczekiwał, nikt im nie udzielił żadnej informacji, nikt im nie wskazał odpowiedniego mieszkania. Jakże inaczej te rzeczy wyglądają w III-ej Rzeszy, gdzie każdy stypendysta zagraniczny przed swoim przyjazdem do wyznaczonego mu środowiska uniwersyteckiego *otrzyma pocztą mapy, przewodniki, wskazówki, mieszkanie i wszelkie informacje...* Zawiedzeni, ze skromną sumką pieniędzy nieszczęśni Jugosłowianie wędrują do poselstwa Jugosłowiańskiego w Warszawie, które im wręcza (chociaż nie ma najmniejszego obowiązku) pożyczki kilkudniowe, skierowuje do Stowarzyszenia Młodych Słowian, aby się zajęło organizacją noclegów, i wymaga, aby obydwaj stypendyści zgłosili się do Min. Wyzn. Relig. i Ośw. Publiczn.,gdzie w myśl konwencji już od pierwszego września r.b., każdy ze stypendystów ma otrzymać zł. 300 miesięcznie.

PAN REFERENT NA URLOPIE...

Tu się dopiero zaczyna skandal. Stypendyści zgłaszają się do M. W. R. i O. P. w Warszawie. 1 Serb i Chorwat składają swoje podania i zaświadczenia od swych ministerstw, zarazem komunikując, że przybyli do Jugosławii *stypendyści z Polski znajdują się już pod troskliwą opieką tamtejszego* rządu i otrzymali już swoje stypendia.

Przecież wiemy doskonale, że naukowcy nie mają tyle zasobów co bankierzy, że stypendysta liczy się z każdą złotówką i że wypłata stypendium (skoro się nie wypłaciło zwrotu poniesionych kosztów podróży) przybywającemu jest rzeczą najpilniejszą... bo ludzie ci mogą formalnie głodować.

Niestety stało się to, co mogło stać się najgorszego, ba nawet z niemałym posmaczkiem cynizmu.

Ogromnie zażenowana i doprawdy zawstydzona urzędniczka M.W. R. i O. P. p. Wanda Markiewiczówna oświadczyła Jugosłowianom, że stypendia im wypłacać będzie Kasa im. Mianowskiego, ale dopiero wtedy, *kiedy ich akta załatwi referent ministerjalny p. inż. Białobrzeski,* który, risum teneatis amici, *przebywa obecnie na urlopie wypoczynkowym i wróci w końcu września r.b.* A więc stypendia płatne od 1 września, ale referent przybywa w końcu września, a możliwość wypłaty stypendiów określono na pierwsze dni października r.b.

ROZŻALENIE JUGOSŁOWIAN

Rozżaleni i nieszczęśni stypendyści *zwrócili się z żaleniem do swego poselstwa,* prosząc o zaliczki, aby mogli jakoś przebiedować, zanim p. inż. Białobrzeski łaskawie powróci z wilegiatury.

Tymczasem jeden z nich zamieszkał „kątem" w Mokotowie, a drugi pospołu z biedą akademicką w *zbiorowych salach, płacąc 50 gr. za nocleg.* Tak zostali przyjęci ci, którzy mają być w przyszłości nie oficjalnymi ambasadorami polskiej kultury w Jugosławji. Tak załatwiono tych, za których *przecież rząd jugosłowiański utrzymuje dwóch stypendystów-Polaków.*

Skandal powstał olbrzymi. *Poselstwo Jugosłowiańskie w Warszawie* prosiło o interwencję w M.W.R. i O. P. A stypendyści rządu polskiego dr. Ivaniczek i dypl. filoz. Petrović zwiedzają Warszawę piechotą (nie stać ich na tramwaj) jadają obiady w taniaku po... 50 gr. i cierpią niedostatek.

PAN MINISTER MA GŁOS

Zachodzi pytanie kto obowiązany był zawiadomić M.W.R. i O.P. o przybyciu stypendystów, czy polskie placówki konsularne w Jugosławii, czy rząd Jugosłowiański?

Czy o tem wie p. premier gen. Składkowski? Czy o tem wie pan minister prof. Świętosławski? Podajemy nazwiska i tak szczegółowe dane, że *byłoby skandalem o pomstę do Boga wołającym, gdyby winni urzędnicy nie zostali ukarani.*

Miejmy nadzieję, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych dopilnuje, *aby na przyszłość podobne skandale nie miały miejsca,* aby pokrzwdzonym straty poniesione wyrównano (np. zniżka kolejowa) i aby na przyszłość *więcej opieki poświęcono tym, których pasowano na orędowników polskiej kultury w Jugosławii.*

Narazie mają oni napewno bardzo złe pojęcie o naszej kulturze i panujących u nas nie porządkach.

Verus.

Dziwne machlojki

przewodników „Orbisu"

Niejednokrotnie dawaliśmy wyraz naszego bardzo krytycznego stosunku do bezdroży i manowców, po jakich błądzi nasza propaganda turystyczna. Dzieją się na tym odcinku ,dziwy" co najmniej nie zrozumiałe, do których nie od rzeczy będzie dołączyć wiadomość, jaką ostatnio otrzymaliśmy za pośrednictwem ajencji prasowej „Echo".

Oto do Zarządu Związku Rezerwistów wpłynęła w ostatnich dniach zbiorowa skarga

na Biuro Podróży „Orbis",

od uczestników wycieczek do Bułgarii.

Przewodnikami wycieczek, organizowanych przez „Orbis" są przeważnie ludzie bardzo „obrotni". O panujących tam stosunkach świadczą następujące fakty: oto, w czasie czerwcowej wycieczki, w Bukareszcie

zniknął nagle delegowany przez „Orbis"

przewodnik. Uczestnicy wycieczki zmuszeni byli sami zorganizować powrót, narażając się przytem na niewygody i wydatki. W czasie wycieczki lipcowej Związku Rezerwistów pobrano od uczestników nadprogramową kwotę zł. 17.50 od osoby za zwiedzenie Bukaresztu (w planie nie było). Ponieważ w mieście tym kierownik „Orbisu" wycieczki

nie raczył nawet zatrzymać

podróżni zażądali zwrotu wpłaconych zł. 17.50 od osoby. Po długich targach „Orbis" zaproponował zwrot zamiast 17.50 —

zaledwie po 3 zł.

W drodze powrotnej zażądał „Orbis" za pobyt w pewnym hotelu kwoty 250 lei od osoby. Znowu targi i scysje, aż w końcu wycieczkowicze we własnym zarządzie

wynajęli ten sam hotel za 80 lei.

Przewodnikami tych wycieczek z ramienia „Orbisu" byli pp. Muszkat Izaak, Weininger i Żubr Salomon. Postępowanie opiekunów „Orbisu" było tego rodzaju, iż uczestnicy lipcowej wycieczki w Warnie podziękowali przewodnikom i

zorganizowali powrót sami,

obierając na kierownika p. mgr. St. Szotana (nie z „Orbisu").

J.

(dokończenie ze str. 2-ej)

putowanego Szakyr Beya. Ze sprawy zrobił się głośny skandal, a gdy pod wpływem presji „polpreda" i „torgpreda" Ostrowski udał się do Szakyr Beya, aby go przeprosić,

ten wyrzucił sowieckiego dyplomatę za drzwi!

Zarówno ta sprawa, jak i badania przybyłej do Turcji nadzwyczajnej komisji rewizyjnej pod przewodnictwem Rozejmana, podczas całej bytności której, Ostrowski przezornie, „w interesach firmowych" siedział w Pireusie, przyczyniły się do tego,

że Ostrowskiego odwołano ze Stambułu.

Że jednak potrafił koło swych interesów chodzić, więc nietylko, że nie udowodniono mu żadnych nadużyć, nietylko że nie spotkała go najmniejsza kara, ale... znów wysłano go zagranicę.

Tym razem do Berlina.

BERLIN — PARYŻ

Tutaj sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej. Nie było tych wszystkich bocznych dochodów, jakie Ostrowski miał w Stambule, pozatem zwierzchnik Jego, był człowiekiem specjalnie skrupulatnym w sprawach pieniężnych. To też na wstępie, Ostrowski cały

swój wysiłek skierował w stronę „zlikwidowania" swego szefa,

co mu się wreszcie udało.

Od tej chwili znacznie „poprawiły się" interesy sprytnego dyplomaty. Poprawiły się tak bardzo, że w Moskwie znów postanowiono zrobić rewizję w berlińskiej placówce kierowanej przez Ostrowskiego. Przerażony tem, Ostrowski postarał się o przeniesienie do Paryża, a następnie zastępcy swemu, którego do Berlina ściągnął ze Stambułu inż. Staruchanowowi kazał przejąć wszystkie sprawy dla przekazania ich nowemu kierownikowi. Staruchanow

w dobrej wierze zrobił to i podpisał akta,

tymczasem nowy kierownik stwierdził nadużycia, ale oczywiście odpowiedzialność za nie spadła na podpisanego Staruchanowa...

Ostrowski tymczasem szalał w Paryżu. Robił tu różne kombinacje finansowe z łódzkim żydem Cytronem, a jednocześnie kroczył naprzód po drodze ku karjerze dyplomatycznej. Uzyskał oto nominację na „torgpreda" w Hiszpanji, jednakże wypadki polityczne jakie w tym kraju właśnie rozgrywały się, powstrzymały go od wyjazdu i zdobyły dlań stanowisko „torgpreda" w Paryżu. Na tej placówce „tawariszcz" Ostrowski.

wsławił się dla Z.S.R.R. podpisaniem traktatu handlowego z Francją,

co było niewątpliwie jeszcze jednym więcej sukcesem w karjerze politycznej tego hulaki, wątpliwej moralności Don Juana, ale jednocześnie fenomenalnie pracowitego i niewątpliwie zdolnego człowieka.

W BUKARESZCIE

Gdy państwa Małej Ententy uznały Z.S.R.R., Moskwa powierzyła Ostrowskiemu stanowisko „polpreda" w Bukareszcie, gdzie przebywa po dzień dzisiejszy, nie wiele zmieniwszy swe metody bytowania, bo nawet wyczyny erotyczne sowieckiego dyplomaty nie zanikły, a jedynie, jak na „polpreda" przystało z maszynistek i żon urzędników legacyjnych, przeniosły się na..

panie z korpusu dyplomatycznego Bukaresztu, między któremi ten wyjątkowo odrażający dyplomata sowiecki cieszy się tajemniczemi względami i wielkiem powodzeniem.

To też zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że swą imponującą karjerę dyplomatyczną „polpred" Ostrowski zawdzięcza nietylko istotnym walorom swego umysłu, nietylko sprytowi i dobrej komitywie z G.P.U.,

ale również ożywionym i pozornie tylko erotycznym „kontaktom" z paniami z korpusu dyplomatycznego.

Argus.

Cuda na rynku mięsnym

Jak funkcjonuje Kasa Targowa

Jak przypuszczaliśmy, pierwszy nasz artykuł, omawiający stosunki w branży mięsnej, zamieszczony w nr. 35 „WIEM WSZYSTKO", p. t. „Handełesy w warszawskiej rzeźni" wywołał olbrzymie wrażenie.

Jak nasza akcja oczyszczenia zatęchłych stosunków w tej branży jest celowa i pożyteczna, świadczy fakt, że ze wszystkich stron zwracają się do nas, bądź telefonicznie, bądź osobiście, *ze słowami uznania.*

KASA TARGOWA — NIEPOROZUMIENIEM

Teraz za tym omówimy sprawę co najmniej dziwnego nieporozumienia, jakim jest Kasa Targowa w Warszawie.

Na całym świecie zadanie Kas targowych *polega li tylko na finansowaniu kupna i sprzedaży.* Tak jest w Berlinie, w Londynie, a nawet i w niektórych miejscowościach Polski, jak np. w Poznaniu.

Z tego normalnego zakresu działalności Kas targowych, tak normalnego i zrozumiałego chyba dla każdego już tylko z samej nazwy tej instytucji, wyłamała się jedynie Kasa targowa w Warszawie.

Na dziwny ten twór stołeczny złożyły się: zarząd miasta, Państwowy Bank Rolny i giełda mięsna w Warszawie, ustanawiając, jak na nasze warunki, olbrzymi kapitał zakładowy, w wysokości półtora miliona złotych.

Na czele tego cudacznego tworu postawiono *urzędnika bankowego, p. Baranowskiego,* który dotychczas, o ile nam wiadomo, absolutnie nigdy nie miał do czynienia z handlem bydła, trzodą chlewną i t. p.

Twórcy tego arcydzieła wykombinowali sobie bardzo sprytnie, że należy jakoś wytłumaczyć powstanie Kasy, więc zaczęto wszem wobec i każdego z osobna głosić, że trzeba bronić producenta i konsumenta *przed wyzyskiem zgrai pośredników.* W Warszawie za tym jedynie Kasie targowej będzie wolno brać w komis towar i sprzedawać... Instytucja więc, której logicznym, choćby z nazwy, celem, miało być finansowanie handlu, stała się ni stąd ni z owąd sama pośrednikiem, o tyle szkodliwym, że monopolowym.

Nie ma więc pośredników. Jest tylko jeden — Kasa targowa, ale za to najgorszy, bo jedyny.

Biedny producent, czy jest zadowolony z takiego komiwojażera, czy nie, *musi* oddawać mu swój towar, gdyż w przeciwnym wypadku wogóle nie sprzeda nic na rynku warszawskim.

NIE SŁAWNE „PECORIS"

Tutaj warto przypomnieć, jak swego czasu powstała na targowisku warszawskim firma „Pecoris". Powstał wtedy wielki krzyk i rwetes, ogólne oburzenie. *I zupełnie słusznie.* „Pecoris" bowiem też stawał się pośrednikiem monopolowym. Znikł więc nie sławnie pod obuchem oburzenia ogółu.

Ledwo jednak znikł ten prywatny balon próbny monopolu, zjawił się prawdziwy monopol w postaci Kasy targowej.

Będąc monopolem, nie bojąc się konkurencji, *kasa targowa dosyć dziwnie jednak pojmuje swe obowiązki komisjonera.* Przyjmując przecież towar w komis, powinna Kasa sama, to znaczy przez swych urzędników starać się o odpowiednią sprzedaż powierzonego jej przez producentów towaru.

POŚREDNIK—POŚREDNIKA

Kasa targowa w Warszawie najwidoczniej inaczej pojmuje swe obowiązki. *Wynalazła bowiem sobie pośrednika p. Motylińskiego,* przez którego dopiero odbywa się sprzedaż. Nie można kupić np. jednego wołu czy całej partii w Kasie Targowej, można natomiast kupić je u reprezentanta, nie urzędnika, Kasy, p. Motylińskiego.

O ile nam wiadomo, p. Motyliński poza tym, że *posiada piękną willę w Ciechocinku,* nie był znany dotychczas w handlu mięsnym. Zupełnie też słusznie, że takie arcydzieło pomysłowości, jak Kasa Targowa, wybrała sobie odpowiedniego pośrednika.

Kasa Targowa otrzymując w komis towar od producenta, specjalną troskliwością nie otacza jego. Wbrew krzykliwym zapowiedziom przy jej powstawaniu.

OMYŁKI NA WADZE

Dziwnie bowiem często *zdarzają się na targowisku omyłki przy wadze.* Omyłki te ponoć potrafią na wagonie 15-tonnowym bydła sięgać cyfry tysiąca kilo. *Na 15 tysiącach jeden tysiąc omyłki* jest za tym wcale nie złym procencikiem, wartym zachodu.

Ciekawe przytym, że omyłki te prostowane są jedynie wtedy, *kiedy producent zaprotestuje* i zażąda ponownej wagi. Nie zdarzyło się jednak jeszcze nigdy, aby „omyłkę" sprostowano bez interwencji. Wtedy więc jest taka normalna, co dzienna waga...

Producent, po stwierdzeniu „omyłki" zgrzyta zębami i traci zaufanie do instytucji. Ale, ba, cóż z tego, skoro nie sprzeda swego towaru nikomu innemu, jak tylko Kasie targowej. Monopolistyczna ta instytucja wyeliminowała przecież z rynku warszawskiego wolny handel. Nie ma komisjonerów. Jeśli straciłeś zaufanie do tego jedynego komisjonera — Kasy targowej — to nie sprzedasz tutaj ani kopyta wołowego... Nie możesz nikomu innemu oddać do sprzedaży swych produktów.

I to jest właśnie wielką tragedją producentów — rolników, zdanych na łaskę *firmy* monopolowej.

ROLA GIEŁDY MIĘSNEJ

Może się zdarzyć w życiu, że tak dziwny twór, jak Kasa targowa w Warszawie, powstanie. Dziwniejszym jest jednak, że do powstania takiego tworu przyczyni się instytucja o nazwie — giełda mięsna.

Normalnie bowiem, czy to na giełdzie pieniężnej, czy towarowo-zbożowej, *wszystkie tranzakcje odbywają się na giełdzie.* Maklerzy sprzedają, maklerzy kupują w imieniu swych klientów.

Na giełdzie mięsnej tego nie ma. Giełda mięsna tylko notuje tranzakcje. Maklerzy jej jednak nic nie kupują, nic nie sprzedają.

Sprzedażą natomiast w Warszawie, zajmuje się instytucja, która normalnie, powinna zajmować się wyłącznie finansowaniem handlu.

Jest tu za tym jakieś przekręcenie pojęć, jakiś opaczny sposób myślenia.

Przez to jednak producent nie może sprzedawać komu chce i za ile chce, lecz musi się oddać na łaskę i nie łaskę Kasy targowej.

SZKODLIWOŚĆ MONOPOLU

Handel wolny przestał istnieć w stolicy na rynku mięsnym. Komisjonerów już nie ma. Jest tylko Kasa targowa i jej pośrednik, czy agent, jak kto chce nazwać, p. Motyliński.

Przez nich wyłącznie przechodzą całe transporty towaru. Oni jednocześnie wywalczają bohatersko wyższe ceny dla rolników — producentów, a zarazem niższe ceny dla kupców detalistów.

W wyniku tych bohaterskich zabiegów rolnik-producent otrzymuje za swój towar ceny niższe, a kupiec płaci wyższe.

A konsument — ten zwykły zjadacz wołowiny, cielęciny, czy wieprzowiny, korzyści dla siebie z monopolu Kasy targowej nie widzi żadnych. Nie ma dla niego rewelacyjnych cen przez działalność Kasy targowej.

Inicjatorom i twórcom tego arcydzieła handlowego — trzeba pogratulować. Kasa targowa ma kolosalne obroty.

Nic to, że producent traci, że zdarzają się omyłki na wadze, że zamarł wolny handel.

To wszystko jest drobiazgiem. Bez znaczenia. Grunt w tym, że zawsze, w każdym wypadku zarabia Kasa. A to najważniejsze. Oto przecież chodziło.

A jednak, jakby to dobrze było, gdyby Kasa targowa podzieliła los firmy „Pecoris".

Poza tym, że „Pecoris" był firmą prywatną, nie było i nie ma między nimi różnicy.

p.

Z przyczyn od nas całkowicie niezależnych, drugi z kolei artykuł omawiający stosunki w branży mięsnej, a szczególnie w rzeźni warszawskiej, nie mógł ukazać się na łamach „Wiem Wszystko".

Redakcja

Dookoła „Feniksa"

Postulaty posiadaczy polis

1. *Wyrażamy gorące podziękowanie dla J. W. P. Wicepremjera i Ministra Skarbu Kwiatkowskiego,* za zarządzenie energicznego śledztwa karnego w sprawie afery Feniksowskiej!—*Domagamy się* przykładnego ukarania winnych aferzystów oraz zajęcia olbrzymich majątków reprezentantów i syndyków Feniksa polskiego, — na częściowe pokrycie strat Feniksa.

2. *Domagamy się* przekazania dalszych agend Feniksa w Polsce, *tylko krajowym towarzystwom ubezpieczeniowym,* a to z powodu smutnych doświadczeń z zagranicznymi towarzystwami! *Dalej domagamy się,* by odnośne towarzystwo ubezpieczeniowe, które obejmie dalsze agendy Feniksa w Polsce, zobowiązało się zatrudniać w dziale agend po-Feniksowskich, przynajmniej połowę urzędników Polaków-katolików, gdyż dotychczas na 68 urzędników Feniksowskich w Polsce, nie było ani jednego Polaka-katolika, a przecież 70% ubezpieczonych w Feniksie, stanowią ubezpieczeni Polacy-katolicy.

3. *Domagamy się* pociągnięcia do pokrycia strat Feniksa także towarzystw ubezp., należących do koncernu Feniksoskiego, „Przyszłość", „*Vita i Krakowskie*" „*Karpatia*" *it. p.* dalej tych towarzystw ubezp. „*Prudential*", i „*Przezorność*", — w których Feniks był reasekurowany!

4. *Domagamy się* bezzwłocznego zarządzenia waloryzacji polis przedwojennych — „*Ankera*" — (*Kotwicy*), które to towarzystwo ma wedle bilansów olbrzymie majątki i robi w Polsce olbrzymie interesa!

5. *Domagamy się* bezzwłocznego wyjaśnienia, w jakim stopniu za przedwojenne polisy austriackiej „*Gizeli*", odpowiada towarzystwo ubezp. „*Przyszłość*" w Warszawie, które objęło w Polsce agendy i portfel „Gizeli".

6. *Domagamy się* bezzwłocznego wyjaśnienia, czy i kiedy waloryzowane będą przedwojenne polisy austriackie, dla obywateli polskich? Wedle bowiem komunikatu Krakowskiego Komitetu Samoobrony posiadaczy polis, — miał Państwowy Urząd Kontroli Ubezpieczeń w Warszawie, otrzymać od rządu austriackiego, — dwa miliony złotych, na cele waloryzacji tych polis!

7. *Domagamy się,* ścisłych dochodzeń przeciwko ustanowionym sądownie lwowskim kuratorom posiadaczy polis przedwojennych, *Dr. Einauglerowi* (Feniks), i *Dr. Chotinerowi* (Anker), — dla czego nie ostrzegli Rządu przed aferzystami Feniksowskimi??

8. *Domagamy się* publicznego ujawnienia i napiętnowania tych dzienników, które pobierały olbrzymie sumy za tuszowanie skandali Feniksoskich. Sumy te wynoszą setki tysięcy złotych! Podnosimy tu, że jedyny w Polsce były tygodnik: „*Głos Wierzycieli*", zwalczał jak najenergiczniej aferzystów Fenikoskich!

9. *Domagamy się* bezzwłocznej reformy i zaostrzenia państwowej kontroli ubezpieczeniowej, — dla zapobieżenia w przyszłości podobnym aferom oszukańczym, — jak to było z Feniksem!

Domagamy się utworzyć jak najrychlej w Warszawie *Centralny Komitet Posiadaczy Polis ubezpieczonych* dla scentralizowania i ujednostajnienia akcji obrończej. A mając ciągły i stały kontakt z najwyższymi władzami, będzie mógł Centralny Zarząd o wiele skuteczniej bronić spraw posiadaczy polis, — gdyż te memorjały rozmaitych komitetów obrończych, wysyłanie kosztownych delegacyj,— raczej przewlekały ostatecznie i definitywne załatwienie postulatów posiadaczy polis ubezpieczeniowych w Polsce!

Dalej domagamy się utworzenia funduszu sanacyjnego, opartego na świadczeniach *wszystkich zakładów ubezpieczeniowych w Polsce,* z którego to funduszu byłaby pokryta część straty ubezpieczonych w polskim oddziale „Feniksa".

Sambor, dnia 4 września 1936.

Za grupę posiadaczy polis, — z okręgu samborskiego.

Antoni Maszczak.

Łącznie z akcją tworzenia Centralnego Komitetu Obrony Posiadaczy Polis Ubezpieczeniowych w Warszawie, podajemy odpis memorjału wniesionego przez grupę posiadaczy polis z okręgu samborskiego.

Każdy posiadacz polis powinien zaznajomić się z treścią tego memoriału. Postulaty te dyskutowane były na konferencji, zwołanej w tej sprawie 7-go września b. r. i niewątpliwie przyczynią się do ujednostajnienia akcji obrończej i przyśpieszenia jej wyników.

Redakcja „WIEM WSZYSTKO"

Tydzień ubiegły

Nad pięknym Lemanem rozpoczęła się ogólno-światowa komedia, pod nazwą „sesja Rady Ligi Narodów".

Jak na poprzednim zgromadzeniu, tak i obecnie, Rada Ligi Narodów ma poważny kłopot z Abisynią.

Oficjalnie bowiem ogłosił się już cesarzem państwa królowej Saby, król włoski Emanuel. Tymczasem jednak negus Heile Selassi nadal upiera się przy tym tytule i nadal wytacza swe pretensje przeciw bezprawnemu zaborowi.

Dygnitarze genewscy byli za tym w wielkim kłopocie, jak postąpić, aby i wilk był syty i owca cała, to jest, aby i potężny Duce, Mussolini, nie był urażony, ani również i Negus nie odczuł po raz wtóry dobrodziejstw opieki wielkich mocarstw europejskich.

Arcymistrze też formuł i formułek dyplomatycznych wymyślili wspaniały nowy trick — odesłać do Hagi sprawę negusa! Niech międzynarodowy trybunał roztrzygnie, czy delegacja abisyńska Heile Selassiego jest w istocie delegacją abisyńską, czy jej pełnomocnictwa nie wygasły.

Naturalnie, wiadomo, o co tym wspaniałym panom, tak pięknie, lisio, chwytającym za słówka i tak wykrętnie ogłaszającym swe umowy i... mowy, chodziło.

Sprawa Negusa i nieszczęsnej Abisynii w Hadze utknełaby pod zielonym suknem mędrców prawniczych, a jeśli nawet ujrzałaby światło dzienne, to zapewne wnuk Negusa będzie miał już bardzo długą i bardzo siwą brodę...

W tak więc wspaniały i sprawiedliwy sposób kończy się ostatecznie obrona niepodległości Abisynii przez potężne „demokracje" Europy, tak ostro i groźnie występujące swego czasu przeciw imperializmowi faszystowskich Włoch.

A tymczasem te imperialistyczne, faszystowskie Włochy, nigdy się zbytnio nie przejmując komedią nad lemańską zabrały się żywo do cywilizowania ludów abisyńskich, nad którymi dotychczas despotycznie panował Lew Judy ze szczepu amhara.

W szalonym tempie buduje się setki i tysiące kilometrów dobrych, europejskich dróg. Dróg, jakich, niestety, nie jedno mocarstwo w Europie mogłoby pozazdrościć...

Buduje się szkoły, organizuje związki młodzieży i dzieci. Wre na wszystkich odcinkach ożywiona praca.

Powstają liczne fabryki. Sadzi się w znakomity sposób setki tysięcy drzew na pustyniach. Tworzy się liczne, zasobne kolonie, w których zamieszkują Włosi. Choć są w Afryce, to ci Włosi czują się u siebie. Powiewa przecież nad tą ziemią ich narodowy sztandar — Italii.

„Demokracje" Europy, wyrażając swe oburzenie na imperialistyczne Włochy, wyrażały życzliwą radość, spowodu zniesienia przez tyranię faszystowską, niewolnictwa. Już z góry cieszyły się, że tak raptowna zmiana ekonomiczna, że ten cały przewrót w gospodarce tej części lądu afrykańskiego, przyczyni się do porażki Włoch.

I cóż się okazało? Włochy nie poniosły porażki. Przewrót ten, dzięki znakomicie przemyślanej organizacji, nie wywołał najmniejszych wstrząsów.

Wielotysięczne rzesze niewolników, harujących dla swych panów za marną strawę i łach na ciało, straciły co prawda swych panów, lecz zyskały lepszą strawę i lepsze łachy...

Zyskując wolność, te liczne rzesze niewolników dostały odrazu pracę. Zatrudniono ich przy budowie dróg, fabryk, mostów, przy pracach rolniczych, celem wydarcia pustyni, jak najwięcej ziemi.

Mussolini triumfuje. Nad italskim lądem afrykańskim panuje spokój. Spokój, który w najmniejszym stopniu nie jest zakłócany przez sporadyczne próby formowania się band amharyjskich.

Liczne szczepy etiopskie, dostawszy się pod panowanie włoskie, po pozbyciu się jarzma amharyjskiego, poznały teraz dopiero potęgę białego człowieka.

Ubolewanie za tym jeszcze teraz nad losem Negusa, który ucie ąc z Etiopii nie zapomniał jednak przezornie zabrać wszystkich skarbów państwowych, a nawet z magazynów zdążył wziąść jeszcze i cztery tonny kawy, jest co najmniej grubą przesadą.

Mimo tego, judaszowe umycie rąk, przez odesłanie sprawy pełnomocnictw delegacji abisyńskiej, przez panów z Genewy, byłoby zarazem i przykre i... niesmaczne.

Nigdy nie można przecież dawać komuś nadziei na coś, czego nie ma zamiaru się spełnić.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

...został przygotowany, dzięki inicjatywie premiera, gen. Sławoj-Składkowiego, wniosek o dobrowolnej redukcji, do połowy, poborów wysokich dygnitarzy państwowych, samorządowych, oraz prywatnych instytucji gospodarczych? Uzyskane tą drogą sumy mają być przeznaczone na Fundusz Obrony Narodowej.

*

...Instytut Bałtycki w Toruniu jest pozostawiony o tyle samemu sobie, że żadne komisje rewizyjne nie kontrolują celowości wydatków? Byłoby to o tyle dziwne, że Instytut Bałtycki otrzymuje znaczne dotacje z min. przemysłu i handlu oraz spraw zagranicznych. Dyrektor Instytutu, p. Józef Borowik, pousuwał zasłużonych dla propagandy interesów polskich na wybrzeżu morskim, profesorów Uniwersytetu Poznańskiego pp.: dr. Winida i znanego geografa Pawłowskiego. Pikantnym szczegółem, co do gospodarki w Instytucie będzie fakt, że diety samego dyrektora wyniosły za rok ubiegły ponoć z górą 12 tys. złotych.

*

...szereg obywateli polskich, zajmujących wybitne stanowiska na wybrzeżu morskim, stale zamieszkiwało na terytorium w m. Gdańska i płaciło podatki na rzecz skarbu gdańskiego?

*

...Jan Kiepura stał się właścicielem nowej kamienicy? Tym razem nasz świetny tenor zakupił dom w Wiedniu, przy Opernring. Stało się to z tego powodu, że nie mogąc wywieść, wskutek ograniczeń dewizowych należnych sum, musiał je w jakiś sposób zabezpieczyć. Kamieniczki więc Kiepurze przybywają...

*

...Niemcy, obywatele polscy uchylali się od służby wojskowej? Agencja „Echo" donosi, że na 1,200 nazwisk opublikowanych w listach gończych Pomorskiego Dziennika Wojewódzkiego, aż 700 jest — niemieckich. Karlowie, Helmuthowie, Wilhelmowie, Rudolfowie i t. p., unikający swej powinności obywatelskiej, stanowią w liście zbiegów aż 65 procent. Jeżeli zważyć, że Niemcy w województwie pomorskiem stanowią zaledwie 10 procent ogółu ludności, to odsetek przestępców wojskowych jest tak wymowny, iż dalsze zapewnienia o niemieckiej lojalności do Państwa Polskiego tego nie osłabią.

Podając tę informację, aj. „Echo" słusznie twierdzi:

„Zastanawiającym jest tylko, w jaki sposób tylu Niemców zdołało zbiec z granic Polski i kto im w tym dopomógł?

*

...opowiadają złośliwi, że słynna ze swoich zapędów reklamowych primadonna operowa Wanda Wermińska chciała koniecznie się zaangażować do Opery, aby zaśpiewać „Carmen", ale dyrektor Mazaraki miał odpowiedzieć: „Czy Pani uważa, że mało jeszcze nieszczęść spadło na biedną Hiszpanję?"

*

...w branży filmowej mówią, że kiedy Karol Ford bierze do ręki nowy numer „Filmu", w którym nie ma przypadkowo żadnej napaści osobistej na niego, drapie się w głowę i mówi: „Oj, nie dobrze! Tracę popularność!"

Europejscy Fred Astaire i Ginger Rogers



Rewelacyjny duet taneczny: Georges Link i Suzy Wilma zachwycają publiczność warszawską w Café-Dancing Adria

Strzeż się!

„Producenta" Zygfryda

W ostatnim numerze nowego pisma filmowego „Kurier Filmowy", znaleźliśmy podwójną kolumnę ogłoszeniową, która w surowym stanie winna znaleźć się w jakimś specjalnym panopticum głupoty i rekordowej polszczyzny.

Na pierwszej widzimy, aż trzy oświadczenia znanego w całej branży filmowej krajowej i zagranicznej bluffiarza Zygmunta - Zygfryda Mayblum-Mayflowera. Okazuje się, że p. Mayblum — popularnie zwany Mayblümchen — to poprostu zapoznany geniusz, którego wszyscy chcą skrzywdzić. Dla tego też p. Maybdum oświadcza, że ukończył

„z organizowany i wykonany przez niego film".

Ciekawe, jak można z organizować film! Dowiadujemy się też, że p. Mayblum nie ma nic wspólnego z firmą Feniks i nie bierze udziału w realizacji ICH następnego filmu. To „ich", to poprostu cały poemat!

R. Z. Mayflower wystosował też „podziękowanie" Panom Aktorom, Technikom i Współpracownikom za pomoc i miłą współpracę przy realizacji filmu „Ada! — to nie wypada!" Jednem słowem wszędzie go pełno!

Ale pan Mayblum jest idealistą.

Tak go wszędzie „kantują", a on furt dalej pracuje. W olbrzymim ogłoszeniu pisze dosłownie: „Do Szanownych Właścicieli Kinoteatrów w Polsce. Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić WPanów, iż sprawię Im wielką NIESPODZIANKĘ na święta Bożego Narodzenia filmem i t. d." Ładna „niespodzianka", którą zapowiada się we wrześniu na Boże Narodzenie!

W tym samym numerze „Kuriera Filmowego" znajdujemy piękne ogłoszenie. Proszę się przekonać naocznie:

„Powstaje wielki film naukowo-dokumentarny „Strzeż się", film, którego zadaniem jest przestrzec ludzkość przed grozą chorób wenerycznych, alkoholizmem, narkomanią (wyraźnie napisano: przed grozą alkoholizmem) oraz skłonić do porad przedślubnych w imię prawa dziedziczności"...

„Strzeż się", to dzwon na alarm; to dokument, to drogowskaz!

„Strzeż się", to dramat dusz ludzkich w wykonaniu kwiatu aktorstwa polskiego! Rezerwujcie terminy!"

Rzeczywiście autorzy tego „kwiatu" ogłoszeniowego muszą być „dziedzicznie" obciążeni i winni rezerwować terminy w Tworkach.

(L.)

„Poszukiwacze" nowych twarzy

Wiadomo. Od dziesięciu lat powtarzają się w filmach polskich te same oklepane i obrzydłe już wszystkim twarze. Wszyscy o tym wiedzą, a filmowcy najlepiej. Dla tego też niekiedy zdarza się, że któryś z matadorów Dziesiątej Muzy wybiera się na „polowanie". O tym, jak ci panowie „przemysłowcy" i artyści" dobrze znają naszych aktorów teatralnych świadczy następująca historyjka, ściśle autentyczna.

Któryś z owych matadorów szukał odpowiedniej aktorki do zagrania roli matki Barszczewskiej w „Trędowatej". Słyszał gdzieś, którędyś, że w Teatrze Malickiej gra doskonała aktorka rolę matki Malickiej w „Profesji pani Warren". Wobec tego zawezwano Halinę Cieszkowską do biura wytwórni. Tu dopiero nastąpił coup de theatre, gdy do gabinetu dyrektorskiego

weszła zupełnie młoda kobieta.

Oczywiście musiano zrezygnować z usług Cieszkowskiej, bo, o ile w teatrze aktorka młodsza może grać rolę matki, aktorki starszej, to na filmie jest to zupełnie wykluczone.

A teraz drugi fakt. Angażowano aktorów do „Barbary Radziwiłłówny". Zwrócono się do utalentowanego aktora i reżysera Zygmunta Biesiadeckiego, ale zawracano mu tak długo głowę, aż musiał zrezygnować ze współpracy. Głównym powodem owych „trudności" było to, że reżyser filmu

„nie znał" Biesiadeckiego i

„nie wiedział", czy potrafi zagrać rolę humorystyczną!

(L.)

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„RYK BYŁEGO LWA" (Teatr Mały). Na ponurej Sacharze repertuarowej TKKT, komedia Winawera jest miłą oazą, w której jednak cudów nie znajdujemy. Dobre, wysoko-gatunkowe dowcipy autora i zręczna budowa sceniczna, dają okazję paru aktorom do wygrania się. W rezultacie doskonali Kurnakowicz i Kreczmar, śpiączkowaty Grolicki, może nieco za nadto rozrzucona, ale naogół trafna Munclingrowa i nie potrzebna Wasiutyńska. Ulgową kartkę można przyjąć bez zastrzeżeń.

„NA GWIAŹDZISTEJ FALI" (Rewia „Hollywood"). — Chór Dana wyśmienity, Szczepko i Tońko miła niespodzianka dla tych wszystkich warszawistów, którzy mniemają, że na Warszawie zaczyna się i kończy świat. Bez przekonania produkujący się Lawiński, nie potrzebny do szczęścia Sempoliński. Malina Michalska, właściwa tancerka na właściwym miejscu i zupełnie nie odpowiednia dla tej scenki Tosia Nowicka. P. Kamieńska bardzo źle śpiewa po polsku, niech ją jednakże Bóg strzeże od „duszoszczypatielnych" romansów cygańskich po rosyjsku. W sumie — można zobaczyć, a przedewszystkiem posłuchać.

Widz.

„FREDEK USZCZĘŚLIWIA ŚWIAT" (kino „Casino"). Zaiste, Fredek uszczęśliwił świat, dowodząc, że inne polskie filmy są znakomite... w porównaniu z „Fredkiem". Trudno naprawdę sobie wyobrazić coś bardziej podławego, bez sensownego i nudnego, niż ta nowa brechta krajowego wyrobu. Pomysł, zaczerpnięty ze starego filmu amerykańskiego, przerobiony został w swoisty sposób przez p. Kaufmana, który nadał scenariuszowi tempo pogrzebowe. Początek i zakończenie filmu, to nie udolna parodia podobnego pomysłu z obrazu sowieckiego „Świat się śmieje", przy czym muzyka walczy ze stroną wizualną o palmę pierwszeństwa w banalności. Oprócz Józefa Kondrata, który z samo zaparciem walczy z beznadziejnością sytuacji i tekstu, wszyscy inni aktorzy „położeni" są na obie łopatki. A te gęby statystów i statystek, pożal się Boże! A „Te Cztery"!!! Całe szczęście, że nie ma ich więcej!

Cały dowcip filmu polega na tym, że wszyscy wykonawcy od początku do końca obrazu wrzeszczą, ryczą, tańczą z niedźwiedzią gracją i sami nie wiedzą, co właściwie robią i mówią. Czaplicki, który jest rzekomo gwiazdą filmu, nie gra prawie wcale, a śpiewa tak, że dosłownie ani jednej zgłoski nie można uchwycić.

Debiut reżyserski Zbigniewa Ziembińskiego wypadł stanowczo poniżej „szarego" poziomu. A szkoda, bo spodziewaliśmy się po nim czegoś więcej. Jedynym plusem filmu są naprawdę doskonałe zdjęcia J. Jonilowicza. On jeden wyszedł obronną ręką z tej przykrej przygody.

Nad program — dwie rysunkówki Fleischera, jedna dobra, jedna kiepska.

„TRĘDOWATA" (kino „Capitol"). Film ten należy rozpatrywać z dwojakiego punktu widzenia. Po pierwsze należy stwierdzić, że nakręcenie podobnego kiczu i kretynizmu w roku 1936 jest policzkiem dla kultury polskiej. Stwierdziwszy ten nie zbity fakt, musimy przyznać się, że „Trędowatą" zrealizowano uczciwie, solidnie i z zapałem, godnym lepszej sprawy.

Reżyser Juliusz Gardan zniżył się do poziomu Mniszkówny i nadał jej kiczowi pozory prawdy. Obsada jest dosyć nie równa. W ogóle da się powiedzieć, że spisała się bez zarzutu stara gwardia aktorska. Junosza-Stępowski, Wysocka i Ćwiklińska grają na prawdę wybornie. Barszczewska nie jest bardzo zła — to wszystko, co się da o niej powiedzieć. Węgrzyn i Halska — bezbarwni. Pan Franciszek Brodniewicz winien czym prędzej zrezygnować z kariery filmowej. Taki „kryminał" aktorski rzadko oglądamy na polskim ekranie. Reszta zespołu niczym specjalnym nie wyróżnia się, ani w sensie dodatnim, ani też w sensie ujemnym, z wyjątkiem młodej i przystojnej Miry Wiszniewskiej, której debiut („Augusta Mocnego" dotąd nie oglądaliśmy jeszcze!) wypadł nad spodziewanie dobrze.

Dekoracje solidne, muzyka — dobra, zdjęcia — na poziomie. Ogółem wziąwszy — szkielet w sobolach. Jeśli ktoś ma odwagę, niech idzie, ale niech pamięta o tym, że złotówka, którą wpłaci do kasy kina, może sprowadzić na nasze nieszczęsne głowy „Tajemnicę Przystanku Tramwajowego", „Niewolnicę Miłości" albo „Iwonkę".

„CYGAŃSKIE DZIEWCZĘ" (kino „Majestic"). „Cygańskie Dziewczę", to jakiś nieudolny, przykry i mało dowcipny amalgamat kiepskiej opery i jeszcze gorszej farsy. W części operowej występują nie świetne siły, a w części farsowej świetni aktorzy Oliver Hardy i Stan Laurel męczą się nad niezdarnymi kawałami.

Stosunek wytwórni amerykańskiej do Flipa i Flapa jest po prostu przestępczy. Mając tak doskonałych komików, możnaby stworzyć cuda humoru. Nikt się jednak o to w Ameryce nie stara. Flip i Flap mają zawsze kiepskie scenariusze, nie udolnie wyreżyserowane i o wybitnym braku tempa. To po prostu zbrodnia!

W „Cygańskiem Dziewczęciu" widzimy obok czołowych bohaterów — zmarłą przed dwoma laty Thelmę Tod, bezbarwną Jacqueline Wells i dawno nie widzianego, ongiś nie zwykle popularnego amanta Antonio Morano, dzisiaj podstarzałego i źle obsadzonego.

Nieliczne „gagi" filmu nie ratują, a pomysł końcowy jest poprostu niesmaczny i makabryczny. Filmu tego nie warto oglądać. Szkoda czasu i pieniędzy.

„ROSE-MARIE" (kino „Bałtyk"). — Przeróbka operetki Frimmla „Rose-Marie" składa się z dwu wyraźnych części. Pierwsza część, to początek i zakończenie. Druga część, to cały środek filmu, w którym reżyser Van Dyke mógł się popisać swoim kunsztem. W tej też części podziwiamy wspaniałe plenery i tak dobrze znaną muzykę Frimmla. Początek i koniec filmu jest dodatkiem zbytecznym i pozbawionym sensu.

Jeanette Mac Donald śpiewa znakomicie. To samo jej partner Nelson Eddy. W rezultacie na „Rose-Marie" wybrać się powinni zdeklarowani melomani, bo inni mogliby się jednak zawieść. W każdym razie film jest mocno przereklamowany.

X. 27.

Bezpłatna nauka

ęzyków słowiańskich

W celu zacieśnienia więzów kulturalnych z narodami słowiańskiemi Stowarzyszenie Młodych Słowian wzorem lat ubiegłych organizuje wieczorowe kursy bezpłatne języków słowiańskich (bułgarski, czeski, serbochorwacki, słowacki, rosyjski i ukraiński) dla inteligencji polskiej. Liczba miejsc na kompletach ograniczona. Zapisy i informacje codziennie g. 18—20 przy ul. Hożej 27 róg ks. Skorupki. Na miejscu bezpłatna wypożyczalnia podręczników bułgarskich, czeskich i serbochorwackich. Grupy uczących się tworzone są według cenzusu wykształcenia.

N.

Łączka kretynów

W „Dzienniku Bydgoskim" drukuje się powieść żydowskiego grafomana, Adama Nasielskiego. W jednym tylko numerze, w odcinku 59, znaleźliśmy takie cuda stylistyki i mądrości autora:

„Chciało mu się płakać i demolować otoczenie...

Może przez kilka minut stał nieruchomy i zrozpaczony, jakby sparaliżowany bólem, zmartwieniem i obuchem przerażenia.

Usiadł poprostu na ziemi i ukrył głowę w ramionach. W ręku miał wciąż rewolwer, w lewej latarkę...

Czuł szum w uszach, dreszcze w stawach, drgawki w kolanach i uścisk w okolicy żołądka, tylko serce biło, jak młot.

Jaz poczuł, że ktoś nachylił się nad nim. Zapach jodoformu, czy innego specyfiku medycznego".

Rzeczywiście chce się płakać i demolować otoczenie.. Ach, żeby to nachylenie się jodoformu nad autorem pomogło. Może przestanie pisać, w każdym razie winszujemy pismu, propagującemu paragraf aryjski tak znakomitego „powieściopisarza". Udał się cuduś p. Tesce!

•

Doskonale redagowany Mały Dziennik z Niepokalanowa, stanowczo wkracza na śliskie drogi ogłoszeniowe. W numerze z dn. 22 września czytamy:

„Czternastoletnia blondynka, zdrowa, otrzyma stale zatrudnienie. — Seweryn. — Limanowskiego 10. Michałkowice G. Śląsk"

Zwracamy panu uwagę, p. Seweryn, że czternastolatkami opiekuje się jeszcze prokurator i można trafić do kryminału za takie skłonności do „uczciwych i zdrowych" blondynek.

•

W biuletynie aj. „Echo" z dn. 22 września znajdujemy następującą „wiadomość":

„Prasa amerykańska przytacza interesujące opowiadanie pasażera statku niemieckiego, który wpadł w niewyjaśniony bliżej sposób w zatoce adeńskiej do morza i dopiero po 10 godzinach został wyłowiony przez statek angielski. Ocalenie swe przed rekinami, które w pobliżu niego pływały, zawdzięcza tej okoliczności, że starał się nie wykonywać żadnych ruchów"

Że prasa amerykańska podaje podobną bzdurę, to nas nie dziwi, ale że polska ajencja prasowa redagowana przez takiego spryciarza jak p. Zajkowski, „wiadomość" tę przyjęła za dobrą monetę, to nas bardzo dziwi. Radzimy redaktorowi ajencji, aby spróbował przebywać w morzu 10 godzin bez ruchu, gawędząc w międzyczasie z rekinami o... notowaniach giełdowych.

•

Teatr na Karowej reklamuje nową operetkę. Czytelnik Kuriera Czerwonego znajdzie tam notatkę:

„Operetka pod kierownictwem artystycznem Łaszewskiego",

a czytelnik Naszego Przeglądu:

„Operetka pod kierownictwem artystycznem Pinesa".

Jeśli nowi „kierownicy artystyczni" przyjęli od p. Waydowej nie tylko teatr, lecz i zwyczaje premierowe, powinni urządzić przyjęcie dla recenzentów. Dla żydów — czulend, dla gojów — kołacz. Jedno i drugie produkcji nowego „kierownika artystycznego" p. Łaszewskiego-seniora.

Stary pies

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9.— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł.: Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66
czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 11-ej do 13-ej
Konto w P. K. O. Nr. 15,581

Redaktor: Henryk Siecieński. Wydawca: Włodzimierz Popławski

Druk. „Kolumna" Warszawa, Nowy Świat 39